

Nazywam się Anna Czeszka - Urodziłam się 11. VII. 1919.

W 1921 r. gdy miałam 2 lata rodzice przenieśli nas na swoje ziemie. Osiedliliśmy się na kolonii - Salwomek Persecha pow. Żnińsk, woj. łódzkie. Ojciec kupił duży teren - 100 hektarów ziemi łącznie z lasem.

W 1937 r. wyjechałam z mamą. Oboje z mężem mieszkaliśmy w małym miasteczku. Po wybuchu II wojny światowej - w 1941 r. (zimno) żołnierze niemieccy w tanopolski i okraśli dom - maksymalnie zburzyć się ma być. Nie wolno było nawet wejść na podwórko. Nie mieliśmy czasu, aby zabrać ze sobą żywność, odzież a nawet żadnych dokumentów. Wszystko odbyło się w pośpiechu. Blizną wewnątrz dwie milutkich dzieci - chudeńkiego synka i 6-letnią dziewczynkę.

Musieliśmy zostawić cały swój domówek, w którym udało się tyle ciężkiej pracy i wysiłku. Zawieziono nas i inne matki z dziećmi do Żnińska na stację kolejową. Potem musieliśmy przesiąść się do wagonów towarowych. Obchodzono się z nami w sposób brutalny, nie zważając na to, że są małe dzieci.

W drodze do Amchangijska zmarł mój synek. Po wielkich trudnościach pochowali go w banku przesyłając nam dziecko. Gdy zbliżaliśmy się do celu skończyły się łomy, więc przetransportowano wszystkich na rowie. Jazda była bardzo ciężka, czuć się było jakby dokładał smażony móż. Miejscem odpoczynku były młocznicy. Zapanowano nas w musieliśmy przystąpić do pracy, od których miało zimno. Było to do niewytrzymania.

Do banku niezłomny parobek ~~dojeżdżamy~~ na miejsce.  
Śliskaliśmy w bankach kilkumodulowych. Pracowałam  
w lesie. Praca była ciężka. Nosłam grube gałzkie do  
palenia. Do jedzenia dostawaliśmy po 400 gram chleba. Chleb  
był tak zamoknięty, że podprewiał się na opornik. Przy pracy  
Dokuczało od mrozu ( $-10^{\circ}\text{C}$ ) oraz śniegu, który sięgał po  
Almanie przywarł do ciała  
pachy. Jeżeli nie wykonaliśmy normy, to nie można było  
iść do „domu” oraz nie dostawano się chleba.

Nie wiem jakim sposobem człowiek mógł to wszystko  
wytrzymać.

W bankach z brudu panowała wszawica.

W 1943r. mojego męża wzięli na wojnę. Było mi coraz  
trudniej. Ojciec trochę pomagał, ile tylko mógł.

Chodziłam do ludzi prosić o chleb, ponieważ to co dosta-  
waliśmy nie starczyło na życie. Niemanie zamieniło  
się na męską jęczmieńkę. Matka była już stara,  
ojciec dostał paralizu, dlatego musieliśmy pracować  
nie tylko na siebie i dziecko, ale także na rodziców.  
To co przesyłam nie da się opisać, to trzeba wszystko  
przesyłać.

W 1946r. przyjechaliśmy na zachód. Porostkowo było także ciężko.  
Chodziłam po niemieckich piwnicach zbierać kopie pieniędzy  
kartofle do jedzenia. Z biegiem czasu dochodziło wszystko do normy.  
Do wojny mąż nie pomógł do nas, wyjechał na północ.

Ja zamieszkałam w Goschnitz, gdzie pracowałam ciężko 17 lat  
w cnamice. Obecnie jestem na rencie inwalidzkiej. Dostaję 20. Tys. zł.  
Takię renty to nawet mi wystarcza na leki.